

KOLEKCJA LITERATURY
KLASYCZNEJ



Bolesław Prus



Lalka

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).

BOLESŁAW PRUS

LALKA

Konwersja:



TOM I

ROZDZIAŁ PIERWSZY

JAK WYGLĄDA FIRMA J. MINCEL I S. WOKULSKI PRZEZ SZKŁO BUTELEK?

W początkach roku 1878, kiedy świat polityczny zajmował się pokojem sanstefańskim, wyborem nowego papieża albo szansami europejskiej wojny, warszawscy kupcy tudzież inteligencja pewnej okolicy Krakowskiego Przedmieścia niemniej gorąco interesowała się przyszłością galanteryjnego sklepu pod firmą J. Mincel i S. Wokulski.

W renomowanej jadłodajni, gdzie na wieczorną przekąskę zbierali się właściciele składów bielizny i składów win, fabrykanci powozów i kapeluszy, poważni ojcowie rodzin utrzymujący się z własnych funduszy i posiadacze kamienic bez zajęcia, równie dużo mówiono o uzbrojeniach Anglii, jak o firmie J. Mincel i S. Wokulski. Zatopieni w kłębach dymu cygar i pochyleni nad butelkami z ciemnego szkła, obywatele tej dzielnicy jedni zakładali się o wygranę lub przegranę Anglii, drudzy o bankructwo Wokulskiego; jedni nazywali geniuszem Bismarcka, drudzy - awanturnikiem Wokulskiego; jedni krytykowali postępowanie prezydenta MacMahona, inni twierdzili, że Wokulski jest zdecydowanym wariatem, jeżeli nie czymś gorszym...

Pan Deklewski, fabrykant powozów, który majątek i stanowisko zawdzięczał wytrwałej pracy w jednym fachu, tudzież radca Węgrowicz, który od dwudziestu lat był członkiem - opiekunem jednego i tego samego Towarzystwa Dobroczynności, znali S. Wokulskiego najdawniej i najgłośniej przepowiadali mu ruinę. - Na ruinie bowiem i niewypłacalności - mówił pan Deklewski - musi skończyć człowiek, który nie pilnuje się jednego fachu i nie umie uszanować darów łaskawej fortuny. - Zaś radca Węgrowicz po każdej również głębokiej sentencji swego przyjaciela dodawał:

- Wariat! wariat!... Awanturnik!... Józiu, przynieś no jeszcze piwa. A która to butelka?
- Szósta, panie radco. Służę piorunem!... - odpowiadał Józio.
- Już szósta?... Jak ten czas leci!... Wariat! Wariat! - mruzczał radca Węgrowicz.

Dla osób posilających się w tej co radca jadłodajni, dla jej właściciela, subiektów i chłopców przyczyny klęsk mających paść na S. Wokulskiego i jego sklep galanteryjny były tak jasne jak gazowe płomyki oświetlające zakład. Przyczyny te tkwiły w niespokojnym charakterze, w awanturniczym życiu, zresztą w najświeższym postępkach człowieka, który mając w ręku pewny kawałek chleba i możliwość uczęszczania do tej oto tak przyzwoitej restauracji, dobrowolnie wyrzekł się restauracji, sklep zostawił na Opatrzności boskiej, a sam z całą gotówką odziedziczoną po żonie pojechał na turecką wojnę robić majątek.

- A może go i robi... Dostawy dla wojska to gruby interes - wtrącił pan Szprot, agent handlowy, który bywał tu rzadkim gościem.

- Nic nie robi - odparł pan Deklewski - a tymczasem porządny sklep diabli wezmą. Na dostawach bogacą się tylko Żydzi i Niemcy; nasi do tego nie mają głowy.

- A może Wokulski ma głowę?

- Wariat! wariat!... - mruknął radca. - Podaj no, Józiu, piwa. Która to?...

- Siódma buteleczka, panie radco. Służę piorunem!

- Już siódma?... Jak ten czas leci, jak ten czas leci...

Ajent handlowy, który z obowiązków stanowiska potrzebował mieć o kupcach wiadomości wszechstronne i wyczerpujące, przeniósł swoją butelkę i szklanę do stołu radcy i topiąc słodkie wejrzenie w jego zażawionych oczach, spytał zniżonym głosem:

- Przepraszam, ale... dlaczego pan radca nazywa Wokulskiego wariatem?... Może mogę służyć cygarkiem... Ja trochę znam Wokulskiego. Zawsze wydawał mi się człowiekiem skrytym i dumnym. W kupcu skrytość jest wielką zaletą, duma wadą. Ale żeby Wokulski zdradzał skłonności do wariacji, tegom nie spostrzegł.

Radca przyjął cygaro bez szczególnych oznak wdzięczności. Jego rumiana twarz, otoczona pękami siwych włosów nad czołem, na brodzie i na policzkach, była w tej chwili podobna do krwawnika oprawionego w srebro.

- Nazywam go - odparł, powoli ogryzając i zapalając cygaro - nazywam go wariatem, gdyż go znam lat... Zaczekaj pan... Piętnaście...siedmnaście... ośmnaście... Było to w roku 1860... Jadaliśmy wtedy u Hopfera. Znałeś pan Hopfera?...

- Phi!...

- Otóż Wokulski był wtedy u Hopfera subiektem i miał już ze dwadzieścia parę lat.

- W handlu win i delikatesów?

- Tak. I jak dziś Józio, tak on wówczas podawał mi piwo, zrazy nelsonskie...

- I z tej branży przerwucił się do galanterii? - wtrącił agent.

- Zaczekaj pan - przerwał radca. - Przerwucił się, ale nie do galanterii, tylko do Szkoły Przygotowawczej, a potem do Szkoły Głównej, rozumie pan?... Zachciało mu się być uczonym!...

Ajent począł chwia

- Istna heca - rzekł. - I skąd mu to przyszło?

- No skąd! Zwyczajnie - stosunki z Akademią Medyczną, ze Szkołą Sztuk Pięknych... Wtedy wszystkim paliło się we łbach, a on nie chciał być gorszym od innych. W dzień służył gościom przy bufecie i prowadził rachunki, a w nocy uczył się...

- Licha musiała to być usługa.

- Taka jak innych - odparł radca, niechętnie machając ręką.-Tylko że przy posłudze był, bestia, niemiły; na najniewinniejsze słówko marszczył się jak zbój... Rozumie się, używaliśmy na nim, co wlażło, a on najgorzej gniewał się, jeżeli nazwał go kto "panem konsyliarzem". Raz tak zwymyślał gościa, że mało obaj nie porwali się za czuby.

- Naturalnie, handel cierpiał na tym...

- Wcale nie! Bo kiedy po Warszawie rozeszła się wieść, że subiekt Hopfera chce wstąpić do Szkoły Przygotowawczej, tłumy zaczęły tam przychodzić na śniadanie. Osobliwie roiła się studenteria.

- I poszedł też do Szkoły Przygotowawczej?

- Poszedł i nawet zdał egzamin do Szkoły Głównej. No, ale co pan powiesz - ciągnął radca uderzając ajenta w kolano - że zamiast wytrwać przy nauce do końca, niespełna w rok rzucił szkołę...

- Cóż robił?

- Otóż, co... Gotował wraz z innymi piwo, które do dziś dnia pijemy, i sam w rezultacie oparł się aż gdzieś koło Irkucka.

- Heca, panie! - westchnął agent handlowy.

- Nie koniec na tym... W roku 1870 wrócił do Warszawy z niewielkim fundusikiem. Przez pół roku szukał zajęcia, z daleka omijając handle korzenne, których po dziś dzień

nienawidzi, aż nareszcie przy protekcji swego dzisiejszego dysponenta, Rzeckiego, wkręcił się do sklepu Minclowej, która akurat została wdową, i - w rok potem ożenił się z babą grubo starszą od niego.

- To nie było głupie - wtrącił agent.

- Zapewne. Jednym zamachem zdobył sobie byt i warsztat, na którym mógł spokojnie pracować do końca życia. Ale też miał on krzyż Pański z babą!

- One to umieją...

- Jeszcze jak! - prawil radca. - Patrz pan jednakże, co to znaczy szczęście. Półtora roku temu baba objadła się czegoś i umarła, a Wokulski po czteroletniej katordze został wolny jak ptaszek, z zasobnym sklepem i trzydziestu tysiącami rubli w gotowiznie, na którą pracowały dwa pokolenia Minclów.

- Ma szczęście.

- Miał - poprawił radca - ale go nie uszanował. Inny na jego miejscu ożeniłby się z jaką uczciwą panią i żyłby w dostatkach; bo co to, panie, dziś znaczy sklep z reputacją i w doskonałym punkcie!... Ten jednak, wariat, rzucił wszystko i pojechał robić interesa na wojnie. Milionów mu się zachciało czy kiego diabła!

- Może je będzie miał - odezwał się agent.

- Ehe! - zachnął się radca. - Daj no, Józiu, piwa. Myślisz pan, że w Turcji znajdzie jeszcze bogatszą babę aniżeli nieboszczka Minclowa?.. Józiu!...

- Służę piorunem!... Jedzie ósma...

- Ósma? - powtórzył radca - to być nie może. Zaraz... Przedtem była szósta, potem siódma... - mrucał zasłaniając twarz dłonią. - Może być, że ósma. Jak ten czas leci!...

Mimo posępne wróżby ludzi trzeźwo patrzących na rzeczy sklep galanteryjny pod firmą J. Mincel i S. Wokulski nie tylko nie upadał, ale nawet robił dobre interesa. Publiczność, zaciekawiona pogłoskami o bankructwie, coraz liczniej odwiedzała magazyn, od chwili zaś kiedy Wokulski opuścił Warszawę, zaczęli zgłaszać się po towary kupcy rosyjscy. Zamówienia mnożyły się, kredyt za granicą istniał, weksle były płacone regularnie, a sklep roił się gośćmi, którym ledwo mogli wydołać trzej subiekci: jeden mizerny blondyn, wyglądający, jakby co godzinę umierał na suchoty, drugi szatyn z brodą filozofa a ruchami księcia i trzeci elegant, który nosił zabójcze dla płci pięknej wąsiki, pachnąc przy tym jak laboratorium chemiczne.

Ani jednak ciekawość ogółu, ani fizyczne i duchowe zalety trzech subiektów, ani .nawet ustalona reputacja sklepu może nie uchroniłaby go od upadku, gdyby nie zawiadował nim czterdziestoletni pracownik firmy, przyjaciel i zastępca Wokulskiego, pan Ignacy Rzecki.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).